

PODRÓZ DO MIASTA ŚWIATEŁ

Rose de Vallenord

Text © copyright by Małgorzata Gutowska-Adamczyk 2013
© copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcie na okładce © Neurdein/Roger-Viollet

Zdjęcie autorki *Wojciech Adamczyk*

Kwerenda i konsultacja romanistyczna *Marta Orzeszyna*

Małgorzata
Gutowska-Adamczyk

PODRÓŻ DO MIASTA ŚWIATEŁ

Rose de Vallenord



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Myślimy, że to my odbywamy podróż, podczas gdy to
ona nas kształtuje lub być może niszczy.

Nicolas Bouvier, *Oswajanie świata*
(*L'Usage du monde* 1963)

Paryż

wrzesień 2011

Szczelnie owinięta kołdrą, próbowała zasnąć. Wraz z przytłumionym szumem miasta przez lekko uchylone drzwi balkonowe do pokoju wpadał chłodny powiew wiatru. Jednak Ninie nie chciało się wstać, aby je zamknąć. Czuła się zbyt zmęczona podróżą i pośpiesznym spacerem z rue Lauriston do rond-point des Champs-Élysées. To była jej stała trasa na powitanie Paryża.

Jeśli przybywała tu samolotem, to na ogół korzystała z metra i wysiadała na stacji Boissière. Szła avenue Kléber w kierunku Étoile, następnie skręcała w lewo i ciągnąc walizkę pod górę krótkiej rue Cimarosa, docierała do Stacji PAN przy Lauriston 74, gdzie zwyczajowo rezerwowała sobie pokój. Niewysoki, otynkowany na jasny beż trzypiętrowy gmach z nadbudówką stał przy wąskiej uliczce spokojnej i eleganckiej XVI dzielnicy, w świetnie skomunikowanym miejscu. Ninie nie przeszkadzało, że wyposażenie jest skromne, a kuchenne zaplecze znajduje się w piwnicy. Napięty plan zwiedzania i badań naukowych powodował, że wracała tu właściwie tylko na noc. Nawet pozbawiona towarzystwa, lubiła przesiadywać w paryskich brasseriach i bistrach, gdzie jadłospis oraz atmosfera są jednakowo istotne. Miała kilka ulubionych lokali

przy rue Lauriston i avenue Kléber; tam zazwyczaj kończyła dzień.

Każdy jej pobyt rozpoczynał się podobnie: gdy tylko załatwiła formalności, zostawiała rozrzucone w pośpiechu rzeczy i z jak najmniejszą torebką ruszała pieszo w kierunku Étoile. Bez względu na porę roku, wdychając ogromnymi haustami zapach miasta, czuła, że żyje. Od Étoile do ronda szła niezmiennie po północnej, bardziej demokratycznej stronie Pól Elizejskich, sprawdzając, gdzie kolejna sieciówka wyparła istniejący tu do niedawna drogi sklep. Przyglądała się ludziom jedzącym w ogródkach, wyławiała wzrokiem prawdziwych paryżan, rzadkich pośród tłumu turystów. Jej uwagę przyciągały drobniutkie Japoneczki w strojach jakby żywcem wyjętych z mangi; duże, ufarbowane na rudo lub platynowy blond, ubrane z ostentacyjnym lekceważeniem skromności Rosjanki; ciemnowłose i ciemnookie Włoszki noszące się elegancko i podobne do nich Hiszpanki. Zadzierała głowę, by popatrzeć na wycieczkowiczów w odkrytych autobusach. Kiedy słyszała Polaków, omijała ich szerokim łukiem. Ponieważ posługiwała się francuskim i znała to miasto, turystów traktowała z leciutką wyższością. Prawie udawało się jej zapomnieć, że ona też jest turystką, że wyjedzie stąd za tydzień lub dwa. Idąc paryską ulicą, czuła się jak paryżanka.

Dotarłszy do celu, skręcała w lewo, aby wypić szybkie espresso w ogródku Le Berkeley przy avenue Matignon, i zwykle wracała do Étoile południową, tą bardziej snobistyczną stroną Pól, przyglądając się zachodowi słońca nad la Défense. Czasem jednak wsiadała do metra na Franklin D. Roosevelt i przesiadając się na Charles de Gaulle – Étoile, wracała do hotelu. Najczęściej robiła jeszcze niewielkie zakupy w którymś z okolicznych Carrefourów, by

wreszcie, zmęczona, ale szczęśliwa, zaszyć się w pokoju i uruchomić laptop. Dzwoniła lub mejlowała do przyjaciół, umawiała się na spotkania, planowała pobyt, wciąż tak samo podekscytowana wizytą, bo każdy dzień w tym mieście miał posmak przygody.

Dziś jednak, wróciwszy ze spaceru, wypija tylko kilka łyków soku i przymuszając się, bo było jeszcze dość wczesnie, otworzyła kupioną ostatnio modną powieść. Zakładka, po ponadgodzinnym locie, wciśnięta w okolicach dwudziestej strony, wymownie świadczyła przeciwko dziełu. Gdyby nie to, że Nina nie zwykła odkładać nieprzeczytanych książek, być może jeszcze na lotnisku bestseller wylądowałby w koszu. Drugie podejście również okazało się klapą. Prawie zawsze czytając na leżąco, Nina zasypiała już po kilku stronach, teraz zaś, zdenerwowana, dogłębnie urażona i zła, że dała się nabrać natrętnym reklamom, zamknęła książkę z nieodwołalnym postanowieniem, że już do niej nie wróci.

Zgasila lampkę nocną, podciągnęła wyżej kołdrę i, zacisnąwszy mocno powieki, czekała na sen. Tak najłatwiej pozbędzie się napięcia ostatnich dni. Miała nadzieję, że jutro w natłoku zaplanowanych zajęć otrząśnie się ze stanu przygnębienia, w jaki popadła tuż przed podróżą. Dziwne, niezrozumiałe rozstanie z Miłoszem kryło się pod każdą myślą i zatruwało nawet to, czego, zdawało się, nic nie potrafiłoby zepsuć. Radość z kolejnego przyjazdu do Paryża okazała się mniejsza niż zwykle. Ciężył na niej żal doznanej, a niezasłużonej krzywdy. Obezwładniający smutek, który nie tylko ściera z twarzy uśmiech, lecz także spowalnia ruchy, zabiera całą potrzebną do życia energię, czyni z porzuconej kochanki narkomana na głodzie, którego nic nie zaspokoi.

Rozstanie bez słowa wyjaśnienia, bez jakiegokolwiek próby pojednania, raniło nie tyle dumę – ta bowiem ucierpiała wielokrotnie wcześniej – ile naruszało podstawy świata Niny, gdzie nic nie dzieje się bez powodu. Tę przykrą, niejasną sytuację przywoływała raz po raz, jakby liczyła na to, że wreszcie dotrze do sedna, zrozumie, a zrozumiałwszy, pogodzi się z faktami. „Było zbyt dobrze. Zbyt dobrze... – pomyślała. – Za bardzo chciałam” – tłumaczyła sobie nauczona życiowym doświadczeniem, że nie dostaje się tego, o czym się zbyt często marzy. Tę przewrotną, choć nieco dziecinną grę z życiem prowadziła już od dawna, dmuchając na zimne i starając się nie zapeszać. Tym razem odstąpiła od reguł, prawie pewna, że udało się przechytrzyć los, że schwytała wymarzone szczęście i znalazła mężczyznę na każdą porę roku. Niestety, szybko dostała nauczkę.

Przypomnienie niedawnych wypadków znów zabolalo i Nina mocniej zacisnęła powieki. Chciała nie myśleć, pragnęła jak najszybciej zasnąć, znieczulić cierpienie, ale sen wciąż nie przychodził, za to rwanymi sekwencjami płynęły przez pamięć sceny z minionych dni, strzępki zdań, jakieś obrazy, zapamiętane nie wiadomo dlaczego. Przepowiadała, co ją czeka jutro, prowadziła francuskie konwersacje z kolegami w muzeum, usiłowała sobie przypomnieć, którą linią metra jechało się do Zoé. Wydawało się jej, że pisze coś na laptopie, ale nie umiałaby powiedzieć, co konkretnie, a najdziwniejsze, że litery na klawiszach były prawie całkiem zatarte.

Otworzywszy znienacka oczy, ze zdziwieniem pojęła: niezauważony, sen jednak przyszedł. Spała, choć wydawało się jej, że nie śpi, bo przecież nie kupowała dziś lilii od ulicznego sprzedawcy. Obudził ją jakiś głośniejszy krzyk na ulicy, może pragnienie, a może chłód w pokoju.

Wstała i zamknęła okno. Miała jeszcze jabłko z Polski. Po ciemku sięgnęła do torby i chciwie jadła.

„Jak u Prousta... – pomyślała rozbawiona. – Dokładnie tak samo”. Nie pamiętała już tego fragmentu ze szczegółami, ale czytała go wielokrotnie, bo to przecież scena otwierająca powieść. „Tam też bohater, śniąc sen podobny do jawy, sądzi, że nie zasnął, i dopiero po przebudzeniu orientuje się w oszustwie, jakie zgotował mu jego własny umysł. Więc to się może zdarzyć każdemu...”.

Odłożyła ogryzek na brzeg stolika nocnego i znów zanurkowała pod kołdrę.

„Starzeję się – podsumowała w myślach. – Żeby pierwszego dnia w Paryżu położyć się przed północą do łóżka! Powinnyśmy siedzieć z Zoé w jakiejś kawiarni i paplać trzy po trzy. A mnie się nawet nie chciało do niej zadzwonić!”.

Zoé była najcenniejszym francuskim nabytkiem Niny. Poznały się przypadkiem trzy lata temu w Musée d'Orsay, niemalże wpadając na siebie podczas oglądania rzeźby Camille Claudel *Wiek dojrzały*. Nagi mężczyzna, główna postać trzyosobowej grupy, obejmowany czule przez starą kobietę, z wyraźnym trudem i ociąganiem podąża za nią. Jego ręki, w rozpaczliwym, błagalnym geście, czeplą się klęcząca młoda dziewczyna. Scena jest dramatyczna, poruszająca. Wydaje się, że mężczyzna odchodzi, aby umrzeć.

– Jak on mógł! – z przyganą wyrzuciła nieznajoma, najwyraźniej nie chcąc pozostać sama ze swymi bolesnymi przemyśleniami. – Nienawidzę go za to, co jej zrobił! Wstrętny samiec! Artysta im zdolniejszy, tym większy z niego samolub! Bo wie pani, że mieli romans: Rodin i Camille Claudel? Musi pani to wiedzieć, to znana historia. Był o tym nawet film z Adjani i Depardieu.

Nina pokiwała głową. Też nie lubiła Rodina, od kiedy poznała historię jego miłości do Camille. Nie wpadłoby jej jednak do głowy dzielić się tymi uwagami z nieznaną!

– Wszyscy są tacy sami! – fuknęła na koniec Zoé.

Nina uśmiechnęła się blado. W gruncie rzeczy myślała podobnie, nie miała tylko tupetu Francuzki.

– Była bardzo utalentowana – powiedziała ugodowo, próbując wrócić na neutralny grunt.

– Zniszczył ją, zniszczył taką artystkę! Najpierw porzucił, a potem jeszcze wykończył finansowo. Padalec!

Znaczenia słowa „padalec” wypowiedzianego, jak i wszystko inne, po francusku, Nina nie rozumiała. Domyśliła się jednak, że to dalszy ciąg inwektyw. Nieznajoma szybko zmieniła temat, wracając do sztuki, a że znała się na rzeczy, Nina chętnie słuchała opowiadanych przez nią anegdot. Razem obeszły ekspozycję parteru i wciąż rozmawiając, wspięły się na piętro. Zaliczywszy galerię impresjonistów, poczuły zmęczenie. Nie wiadomo, jak i kiedy wylądowały na wspólnej kawie. Wówczas Nina dowiedziała się, że ma przed sobą koleżankę po fachu, czego zresztą już się wcześniej domyśliła. W krótkim czasie poznała jej poglądy oraz soczyste charakterystyki wszystkich członków rodziny i kilku z licznych, jak się domyśliła, kochanków.

Pomimo przytłoczenia zbędnymi wiadomościami znajomość uznała za sympatyczną, a także pożyteczną. Zoé zresztą tak samo uwielbiała pomagać, jak relacjonować swoje doświadczenia. Jej życie wydawało się jedną wielką, niekończącą się przygodą. W zasadzie brakowało w nim tylko miejsca na szarą, nudną codzienność. Każdy najmniejszy fakt stawał się wydarzeniem. Nieważne, czy były to poranne zakupy, czy podróż metrem do pracy,

potrafiła opowiadać o codzienności ze swadą i okrasić historię taką liczbą żartów i anegdot, że Nina niezmiennie słuchała z otwartymi ustami, z rzadka zdoławszy wtrącić jakieś słowo.

Drobna, o długich, ciemnych, świetnie utrzymanych włosach i zawsze umalowanych paznokciach, Zoé wydawała się niezwykle paryska. Ubierała się modnie, mieszając style i trendy z odwagą, jakiej Nina po cichu jej zazdrościła. Dużo paliła i raz na trzy miesiące odkrywała nową pasję. Teraz pracowała w Musée d'Orsay, o czym od zawsze marzyła, a co dla Niny stanowiło bardzo korzystną okoliczność. Tutaj zamierzała bowiem rozpocząć poszukiwania śladów Rose de Vallenord.

Skulona, obejmując się ramionami, czekała na sen. Pragnęła, jak co noc, aby Miłosz, którego nie nauczyła się jeszcze nienawidzić, przyszedł do niej choćby niematerialnie, nienamacalnie, by poczuła go chociaż tylko przez chwilę. Dopóki wędrowała ulicą, załatwiając drobne sprawy, póki realizowała plan dnia, nie wzywała go tak dramatycznie. Przypominał jej się często, zawsze taki sam, promienny, cudowny, oszałamiający. To w jego objęciach miała tu dziś usypiać, szczęśliwa i spełniona.

Ale Miłosza nie było. Nina próbowała zrozumieć, dlaczego jego brak tak dotkliwie ją boli. Usiłowała zbudować w sobie mur odgradzający od cierpienia, robiła to już przecież wielokrotnie. Dlaczego się nie udaje? Nagłym ruchem odrzuciła koldrę, wstała, uchyliła firanki, szerzej otworzyła drzwi balkonowe i oparłszy dłonie na przylegającej do ściany balustradzie, głęboko oddychała. Pejzaż miasta się zamazywał. Nie wycierała jednak łez, jakby nie stanowiły problemu. Gdzieś z wnętrza wyrwał jej się spazmatyczny, zawstydzający szloch.

Drażył ją też dziwny wstyd. Czy to ona była winna temu, że Miłosz ją porzucił? Bo czuła się winna. Nie znajdowała żadnego racjonalnego powodu tego wstydu. Nie miała za co przeproszać. Chciała tylko wiedzieć, dlaczego to się znów wydarzyło? Chłodne powietrze wrześnieowej nocy przenikało ją do szpiku kości. Zamknęła drzwi balkonowe i wróciła do łóżka.

Ranek wstał rześki. Nie czekając, aż matka zacznie ją bombardować SMS-ami, Nina zapewniła Irenę, że w ciągu nocy nic straszego nie zaszło. Wzięła prysznic, zapakowała do plecaka kilka niezbędnych drobiazgów i poszła na róg Lauriston i Copernic, gdzie przy wysokim murze stacji pomp znajdował się najbliższy parking miejskich rowerów. Opłaciła wynajem i wypięła pojazd ze stojaka. Dojechała do place Victor Hugo. Tu, w brasserii La Petite Marquise, lubiła zjeść śniadanie. Przypięła rower do metalowego ogrodzenia i, starając się nie tracić go z oczu, weszła do piekarni. Kupiła croissanta i brioszkę oraz café au lait i po niedługiej chwili ruszyła avenue Raymond Poincaré w kierunku avenue Foch i Lasku Bulońskiego.

Ponieważ z Zoé umówiły się dopiero na lunch, miała trochę czasu, aby objechać stare kąty „szesnastki”, z których Lasek Buloński był niewątpliwie najprzyjemniejszy. I nagle zarysował się w jej głowie plan tak ambitny, że aż szalony: pojedzie na spotkanie rowerem! Sprawdziwszy, że uda się jej zaparkować przy rue de Lille, tuż obok muzeum, nacisnęła na pedały.

W Lasku Bulońskim nie spotkała o tej wczesnej porze zbyt wielu spacerowiczów. Zrobiwszy spore kółko, wyjechała przez Porte de Passy, by skierować się do Trocadéro. Zjechała w kierunku rzeki, przepравиła się pod wieżę Eif-

fla i, trzymając się lewego brzegu Sekwany, wzdłuż quai d'Orsay i boulevard Saint-Germain, dotarła na miejsce.

Dumna z osiągnięcia, ale też dość zmęczona i głodna, skierowała się ku drzwiom wejściowym Muzeum d'Orsay. Ponieważ jeszcze na lotnisku wykupiła wielokrotny bilet wstępu do wszystkich muzeów, mogła z ulgą ominąć długą kolejkę i wejść bez żadnego problemu. Przechodząc obok *Wieku dojrzałego*, uśmiechnęła się do swych wspomnień.

W kawiarni panował już spory tłok, stanęła w kolejce.

– Zwiedzanie, jakie to męczące, prawda? – zapytała Zoé, która chwilę później znalazła się za jej plecami.

– I dobrze wpływa na apetyt. – Nina uśmiechnęła się trochę kwaśno, bo sama też już czuła się głodna.

– Restauracja, dwie kawiarnie, kiosk z jedzeniem na wynos i zawsze wszędzie tłok! Szkoda, że nasze stoiska z piątkami nie mają aż takich obrotów, ale przecież sztuki nie da się kontemplować na czczo! Wstrętni burżuje! – wyszczała zezłoszczona Zoé, która, jak większość Francuzów znających temat tylko teoretycznie, była z przekonania socjalistką.

Kupiły po kawie i sałatce i zaczęły poszukiwać wzrokiem miejsca, które wkrótce mogłoby się zwolnić.

– Na długo przyjechałaś? Co cię sprowadza tym razem?

– Mam jeszcze miesiąc wakacji, ale chciałabym też pojechać do Lanobre.

– Co tam jest ciekawego? Jakiś zamek chyba?

– Muzeum w zamku Vallenordów.

– Ach tak, rzeczywiście, Rose de Vallenord! Więc badasz polsko-francuskie tropy?

– Taki nasz kompleks prowincji, chyba nigdy nie zdołamy się z niego wyzwolić. Rose była z pochodzenia Pol-

ką, ale nie powiedziałabym, że to polska malarka. Z Polską miała niewiele wspólnego.

– Nie była gwiazdą pierwszej wielkości. Parę lat temu organizowaliśmy jakąś niewielką wystawę retrospektywną, ale ostatnio o niej przycichło.

Nina zdziwiła się, że Zoé nie słyszała o kradzieżach dzieł Rose, jednak na razie nie zamierzała wyjawiać tego, co wie.

– Będę szukała materiałów do książki. Już sam fakt, że została księżną, jest zajmujący.

Zoé zamyśliła się sceptycznie.

– W tamtych czasach to mogło uchodzić za wyczyn. Poślubienie jej było z pewnością mezaliansem ze strony Vallenorda. Gdyby jeszcze miała pieniądze, a tu nic, żadnej pozycji, żadnego majątku. Nie była nawet zbyt znana jako malarka. Ot, takie zwykłe życie, które trwało i przeminęło.

– Mimo to chciałabym je zrekonstruować.

– Ale kogo to jeszcze dziś obchodzi? Kto kupi książkę o zapomnianej artystce?

– Nie zastanawiałam się nad tym. Zresztą jeszcze jej nie napisałam.

– Masz przynajmniej jakieś stypendium?

– Nie, tylko wolny czas.

– I chcesz pracować dla idei? Lepiej jedź do Egiptu! Albo na Riwierę. Odpocznij, poleż na plaży. Teraz przynajmniej jest tam pusto.

– Nie mam z kim.

– To wszystko wyjaśnia! Mój ostatni facet odszedł, bo zostałam weganką! Wyobrażasz sobie?! Wsuwał te swoje befsztyki, nikt mu przecież nie bronił, no owszem, czasem coś tam powiedziałam pod nosem, niezbyt głośno, żeby go nie zranić, ale jemu się nawet moje miny przy

stole nie podobały! Kiedy go poinformowałam, że jajka to menstruacja kury, wypluł śniadanie na talerz, a to przecież prawda! Chciałam tylko, żeby wiedział.

– Zostawił cię z powodu jajek?!

– Do diabła z nim! Po co komu facet? Ciągłe kłopoty, ciągłe nadszarpnięcia. Rzygałam już tymi durnymi filmami sensacyjnymi! Czy oni w ogóle mają mózgi?!

– Niektórzy tak...

– Spróbuj na takiego trafić! W ciągu ostatnich kilku lat z żadnym nie udało mi się pogadać. Zresztą chyba nawet nie chciałam. Więc pytam, po co stworzono facetów?

– Żebyś się mogła zakochać?

– Wierzysz jeszcze w te bajki?! Może do seksu się nadszarpną, ale to też przereklamowane. Przychodzi taki, musisz zmienić pościel, umalować się, założyć peniuar z sex-shopu, pończochy samonośne, bo go to kręci. No i od razu się okazuje, że *Kamasutry* to on raczej nie czytał, a grę wstępą odbył przed lustrem w windzie. Kwadrans później dostajesz albo i nie tę swoją chwilę. Dla nieszczęśliwych trzydziestu sekund musisz znieść jego fochy, posprzątać potem, jeszcze coś ugotować, być miłą... A może ja nie chcę być miłą?! Może ja jestem zmęczona po pracy, padam z nóg i to ja chcę, aby ktoś był dla mnie miły!

– Czasami są...

– E tam. Wibrator, mówię ci! To jest prawdziwy przyjaciel kobiety. Trzymasz go w szafce, nie zrzędzi, zawsze czysty, pod ręką, nie marudzi i nie musisz potem oglądać razem z nim meczu albo wysłuchiwać historii o szefie, który nie chce mu dać podwyżki. Co mnie obchodzi jego podwyżka. Czy on płaci moje raty?! Nie płaci, a jak przyjdzie co do czego, to nawet szafki nie potrafi równo powiesić! I męcz się potem do następnego remontu, bo jemu się wydaje, że przecież jest równo. Nie, nie, faceci są do bani...

Nina westchnęła.

– Może przesadzam, w końcu jesteśmy w Paryżu, to zobowiązuje. Ale naprawdę, nie wierz w te bajki, tu jest się tak samo trudno zakochać jak w Warszawie. Zresztą ile trwa miłość? Dzień? Tydzień? Miesiąc? A potem nuda. Miłość to szkodliwe złudzenie pensjonarek. Żebym jeszcze chciała mieć dziecko, ale nie. Dzieci: koszmar, udręka i całodobowa harówka. Wiem, bo widzę, jak żyje moja siostra. Żadnych facetów, żadnych dzieci. *Jamais!*¹

– Jesteśmy wolne i co z tego mamy? – pośpiesznie zapytała Nina.

– A coś ty dzisiaj taka, jakby spuścili z ciebie powietrze?

– Przyjechałam na rowerze.

– Wariatka! A wolność musi kosztować. Pragniesz jechać do Paryża, jedziesz. Jest wrzesień; mając dziecko, musiałabyś je prowadzić za rączkę do szkoły albo przedszkola. Wszędzie w pośpiechu, o sobie pomyślałabyś przed snem. Nie da się pogodzić rodziny i wolności. Chcesz się rozwijać, pracować naukowo, pisać książki? Rodzina to kula u nogi.

Nina w zasadzie przyznawała Zoé rację, ale myśl o pięknych, pełnych czułości chwilach z Miłoszem, a także obraz szczęścia rodzinnego Igi i Xaviera Toroszynów sprawiały, że mimo wszystko wierzyła w miłość.

– Kiedyś kobiety miały trudniej, presja społeczna nie dawała im wyboru. Teraz bycie singlem jest modne. I jaka to wygoda... W rodzinie ciągle musisz się podporządkowywać, spełniać cudze oczekiwania i na deser nie dostajesz jeszcze żadnego zrozumienia – Zoé nie dawała za wygraną.

¹ Nigdy! (fr.).

– Skąd znasz moją matkę? – zaśmiała się Nina.

– Wszystkie matki są takie same, niestety. Myślą tylko o sobie!

– Jak to? Przecież powiedziałaś, że bez przerwy się poświęcają.

– Ciągle mędzą o tym swoim poświęceniu, aż się robi niedobrze! Wszystko musi być tak, jak sobie wymyśliły, inaczej zadręczą cię gadaniem. Chciałabyś być taką matką?

– Nie.

– Ja też nie.

– I chyba nam to nie grozi?

– Alleluja! Więc przyjechałaś tu dla Rose de Vallenord? Znajdziesz u nas dotyczącą jej dokumentację i dossier każdego dzieła, które jest w posiadaniu muzeum. Nie pamiętam teraz, ile tego mamy, ale niewiele. Rynek dawno nic nie oferował, w każdym razie nie za mojej pamięci. Jako wykładowca uniwersytecki wstęp masz oczywiście wolny. Dział dokumentacji i biblioteka znajdują się na czwartym piętrze, to chyba pamiętasz? Niewiele można wnieść, nic się od ostatniego razu nie zmieniło. W recepcji wypełnisz formularz wejścia, przygotuj sobie dokument tożsamości, który tam zostawisz, podobnie jak większość rzeczy poza laptopem i kartkami na notatki. Dostaniesz identyfikator i cztery godziny na randkę z piękną Rose. O osiemnastej zamykamy. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o. o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
MAP Polska*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Paulina Martela*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*
Korekta *Katarzyna Nowak, Jolanta Karas*

ISBN 978-83-10-12329-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Nasza Drukarnia